György Spiró

Iksowie

język oryginału: węgierski

przekład: **Mieczysław Dobrowolny**

Jest już stary, pomyślał Osiński, ma pięćdziesiąt osiem lat. Długo raczej nie pociągnie. I po uszy zadłużony. Zadłużony u mnie.

Zadłużenie Bogusławskiego wynosiło sto osiemdziesiąt tysięcy złotych, kiedy Osiński za sto osiem tysięcy kupił teatr wraz z dekoracjami i kostiumami oraz częścią rękopisów, dalsze osiemnaście zapłacił Bogusławskiemu za opuszczenie teatru – tej kwoty mu nie wręczył, bo tyle Bogusławski przyrzekł Rozalii w posagu, co oczywiście pozostało tylko czczą obietnicę – zostało więc jeszcze do spłacenia siedemdziesiąt dwa. W południe podczas obiadu Osiński na wszelki wypadek spytał żonę:

– Powiedz, moja droga, ile jest mi winien pani ojczulek?

– Znaczną sumę – odparła Rozalia.

Osiński przytaknął.

– Czemu pytasz? – zainteresowała się Rozalia.

– Wrócił ze Lwowa – powiedział Osiński.

Rozalia milczała.

W tym czasie w teatralnej suterenie Bogusławski jadł na kredyt kaszę.

– Miałem z sobą dwa paszporty – opowiadał z pełnymi ustami, z ziarnkami kaszy na długiej, siwej brodzie. – Jeden prawdziwy, drugi jakiegoś kupca, który załatwiłem we Lwowie. Wytrzęśliśmy się już dyliżansem za Kraków, kiedy nadjechał oddział Austriaków i zażądali paszportów. Wyciągnąłem prawdziwy, spytali, czym się zajmuję, i nieopatrznie powiedziałem, że jestem kupcem.

Siedzący w gospodzie aż syknęli.

– Austriacy powiedzieli: tu wpisano, że aktor. Mówię im, że tylko żartowałem. Macie pojęcie – oni nie znają się na żartach.

– Nie mają poczucia humoru – stwierdził Zdanowicz.

– Zabrali mnie z powrotem do Krakowa i przymknęli w jakiejś piwnicy. Przez cały dzień nie dali mi nic do jedzenia. Siedziałem zasępiony w tej zimnej norze i wpadłem na pomysł, jak by należało przebudować teatr. I to całkiem tanio.

– Prościej będzie zburzyć – uznał Malinowski.

– Od dłuższego czasu – ciągnął Bogusławski, mieszając kaszę – pierwszy raz miałem okazję do rozmyślań w całkowitym spokoju. Ci Habsburgowie to

całkiem porządni faceci. Następnego dnia zaprowadzili mnie do oficera, który drobiazgowo, we właściwy im sposób, zaczął mnie wypytywać, położył przede mną oba paszporty, żebym sobie któryś wybrał, skoro tak bardzo lubię podróżować. Mówię: jestem aktorem, co najmniej takim jak Talma. Nawet nie drgnął. Nie widział Talmy.

– My też – stwierdziła rzeczowo Helena Rutkowska.

– Ale on nawet o nim nie słyszał – odparł Bogusławski z niezadowoleniem. – Mówię mu: ja pierwszy śpiewałem w Warszawie Mozarta, ale o Mozarcie także nic nie słyszał! Zapytałem, czy był kiedyś w teatrze. Kiedyś tam był, nawet mu się podobało, ale tytułu sztuki nie pamiętał, jakiś Negus zadźgał swoją żonę.

– Otello – oznajmił z dumą Szczurowski.

– O to i ja spytałem – odparł Bogusławski, przysuwając sobie kolejne danie – ale tylko wzruszył ramionami. Czy pan ją dobrze pamięta, kapitanie? Skinął głową. No więc, mówię, odegram panu kapitanowi żonę Negusa.

Żółkowski parsknął śmiechem.

– Wyszczerzył zęby i przywołał nawet wartowników. Swego czasu Bulla grał Otella po niemiecku, pamiętałem kilka fragmentów. Poprosiłem oficera, by stanął naprzeciw mnie – on będzie zazdrosnym Negusem, ja jego żoną. I zacząłem mówić. Na początku rechotali, ale powoli milkli, i tak się gapili, jakby jeszcze nigdy w życiu nie spotkali ponętnej dziewczyny. Widziałem po oczach oficera, że naprawdę wczuwa się w rolę Maura, w jego wzroku było tyle zazdrości, że natychmiast bym go zaangażował do roli. Kiedy go objąłem i pocałowałem, nikt nawet się nie zaśmiał. Albo mnie rozstrzelają, pomyślałem, albo wypuszczą.

W bufecie zapadła cisza, Bogusławski zanurzył łyżkę w misie.

– Sądzicie zapewne, że mnie rozstrzelali, co? – rzucił ze śmiechem.

– Mistrzu, Mistrzu – Malinowski pokręcił z niedowierzaniem głową o czarnej czuprynie – to takie piękne, że tylko pan mógł coś podobnego wymyślić.

– Nie musi nawet być prawdziwe – burknął zrzędliwie Żółkowski – grunt, że piękne.

– Wobec tego postawcie mi jeszcze jeden obiad – odparł Bogusławski. – Mięsa nie ma?

– Nie ma – odparł osowiale tłuścioch Żółkowski.

– Od tygodni nie ma – dodał Szymanowski.

– Nie szkodzi – powiedział Bogusławski – jest kasza.

– Musiał się pan nieźle zadłużyć we Lwowie, Mistrzu – rzucił Malinowski.

– Rzeczywiście nieźle. Ale stara gwardia, jak widzę, została.

– Są i nowi – odparł Szymanowski ponuro. – Sam pan zobaczy. Osiński zaangażował kupę durniów.

– Coś brak wam humoru – stwierdził Bogusławski. – A przecież jest kasza. Co idzie dziś wieczorem?

– Genialna sztuka – skrzywił się Żółkowski. – Bezwzględnie musi pan zobaczyć. Przez te pół roku sporo się tu zmieniło.

– Dmuszewscy jeszcze są? – spytał Bogusławski.
– Są.
– Kudlicz też jest – dodał Malinowski. – Bardzo się ucieszy, że Mistrz wrócił.
– Będę miał przynajmniej kogo nienawidzić – odparł ze śmiechem Bogusławski.

Przed gmachem teatru już się nie śmiał. Jego wysoka, chuda postać przygarbiła się, długa, zapuszczona we Lwowie siwa broda smętnie opadała na wytarte futro. Oczekiwał, że rzucą mu się na szyję, lecz oni tylko beznamiętnie zastygli wokół niego, z rzadka ktoś rzucił pytanie, nikt naprawdę się nie cieszył, nawet dowcipy Żółkowskiego były posępne. Nie wierzą we mnie, pomyślał, już się mnie nie boją.

Kręcił się przy tylnym wejściu do teatru, mijali go znajomi aktorzy i technicy, mignęła twarz suflera Wąsikowskiego i Gerlicera, szefa maszynowni, żaden jednak go nie dostrzegł. Przecież nie mógł się przez te pół roku aż tak się zestarzeć. To ta broda.

Ruszył w kierunku Miodowej, obejrzał się na stojący pośrodku placu teatr. Zniszczony, odrapany budynek, nadający się do wszystkiego, tylko nie na teatr. Kiedy król zaakceptował tanią propozycję Bonawentury Solariego zamiast pełnych rozmachu projektów Schrögera i Merliniego, Bogusławski nie mógł jeszcze przypuszczać, że wkrótce, po zaledwie dwunastu latach, jemu przypadnie remont budynku, i ponownie za niewielkie pieniądze. Do budynku głównego dostawił przybudówkę, wzmocnił fundamenty, w trakcie remontu okazało się, że całe obelkowanie zbutwiało i trzeba je wymienić; na poddaszu urządzono mieszkanie dla maszynisty, a przy wejściu do budynku postawiono stajnię. Król w końcu dorzucił jeszcze zrozpaczonemu Bogusławskiemu trochę pieniędzy, pod warunkiem że zbudują dodatkowe wejście do loży królewskiej. Tak też się stało. Na magazyn dekoracji i na garderoby pieniędzy już oczywiście zabrakło. Po kilku latach gmach znów groził zawaleniem, więc w 1808 roku wszystko zaczęło się od początku. Bogusławski wiedział, że nawet mimo tamtego remontu teatr jeszcze jakoś się trzyma tylko dzięki modlitwom. Z kwot przeznaczonych na nieustanne naprawy można by wznieść trzy przyzwoite teatry. I tak najnędzniejszym teatrem Europy stał się ten w Warszawie; potwierdzało to wielu podróżnych, wśród nich i Kotzebue.

A zresztą, teraz niech się martwi Osiński.

Plac Krasińskich tchnął tą samą atmosferą, którą czuł rano, przeprawiając się promem z Pragi. Warszawa zeszła na dziady, stała się przygnębiającym, zbiedniałym miastem. Gmach sądu, pałac Krasińskich już z daleka zalatywały stęchlizną, na Długiej budynki chyliły się ku ruinie, a najbardziej kamienica czynszowa Ehlerta mogąca przyjąć dwa tysiące mieszkańców. Na Miodowej do tej pory nie wywieszono nazwy ulicy. Nie tak dawno z wielką pompą przechrzczono ją na ulicę Napoleona, a potem po cichu zdjęto tabliczkę, lecz starej nie przywrócono jeszcze na dawne miejsce. Cały plac Teatralny pokrywało błoto. U wylotu Długiej kotłował się niewielki tłum, roiło się od

żandarmów, widać przeprowadzano rewizje w poszukiwaniu tytoniu i spirytusu. Rankiem, gdy przeprawiał się przez Wisłę, dokładnie zrewidowano także Bogusławskiego, a potem raz jeszcze obszukano go przed bramą miejską.

Powolnym krokiem dotarł do końca Miodowej. Słynna cukiernia u Lessla była zamknięta, na drzwiach wypożyczalni książek Glüksberga krata z kłódką, ale dwie inne cukiernie, Honoratka i pobliska Dziurka Marysi, były otwarte. Bogusławski nadal czuł głód; przystanął na rogu Miodowej i Senatorskiej przed restauracją Chovota, lecz po chwili ruszył dalej: zje raczej za darmo u syna.

Większość sklepów po obu stronach Krakowskiego też była zamknięta. Mięsa nie widział nigdzie. Zajrzał na chwilę na Stare Miasto, ratusz ział pustką i do połowy wypalonymi murami, tylko dzieci grały tam sobie w piłkę. Kramiki przyklejone do murów ratusza również stały puste, wałęsało się przed nimi zaledwie kilku Żydów, wyraźnie znudzonych. Przy karetach wychudzone konie. Stangreci na kozłach drzemali owinięci kocami, żaden nie zaofiarował swoich usług. Bogusławski przemierzył całe Krakowskie Przedmieście i przystanął przed pałacem Radziwiłłów. Budynek służący niegdyś za teatr, w którym zaczynał karierę, wyglądał teraz opłakanie, pośród kamieni pleniło się zielsko, a na dachu rosło drzewko. Nigdy jeszcze Warszawa nie była taką pustynią.

Nie szkodzi, pomyślał Bogusławski, nawet w takich czasach trzeba robić teatr.

Ruszył w stronę domu Nacewiczów.

fragment 2.

– Według moich informacji – powiedział kasztelan przesuwając wzrokiem po zdobiących ściany pancerzach, lancach i szablach przodków – Iksowie zbierają się każdej środy w pałacu Mostowskich.

Bogusławski słuchał z kamienną twarzą.

– Wyklinają wszystkich, którzy wyłamali się z utartych dróg – mówił drwiąco Sołtyk. – Mozarta, bo zniszczył harmonię, Beethovena, bo rozbił formę sonaty, Talmę krzyczącego na scenie... małpują obiady czwartkowe Stanisława Augusta.

– Nie mam wstępu do pałacu Mostowskich – powiedział Bogusławski.

– Ani ja – rzekł Sołtyk z ironią. – Niech pan spróbuje zapolować na każdego oddzielnie. Lipiński, Osiński, Matuszewicz, Niemcewicz, obaj Platerowie, Fredro i Koźmian zwykli tam bywać każdej środy. Niekiedy i Czartoryski. Sierakowski i Wyszkowski. Pańskiej uwadze polecam szczególnie generała Morawskiego, to bardzo wykształcony i interesujący młody człowiek.

– Wszyscy są Iksami? – Bogusławskiemu zakręciło się w głowie.

– Pani Wirtemberska także, pani Elżbieta Krasińska również tam bywa. Zna ją pan? Niezwykle dowcipna dama, szkoda tylko, że garbata. Goethe też za nią przepadał, w Karlsbadzie mieli ponoć romans. Niech pan sobie wyobrazi Goethego z garbatą kobietą w łóżku. – Sołtyk wybuchnął śmiechem.

Bogusławski wyszedł na ulicę jak odurzony. Grzebiąc z roztargnieniem po kieszeniach stwierdził, że tym razem kasztelanowi nie przyszło do głowy wspomóc go jakąś sumką, i cały czas mruczał do siebie: sami ministrowie i radcy państwowi.

Pan Iks to sam rząd.

Marianna powitała go wiadomością, że pod jego nieobecność przed domem odbyła się manifestacja z wyrazami poparcia, ale żandarmeria ją rozpędziła.

– Bohaterska opozycja wezwała mnie do kapitulacji przed rządem – powiedział Bogusławski szczerząc zęby. – Wspaniałe, prawda?

Gdy Marianna stawiała przed nim jedzenie, warknął krótko i pochylił się nad swoimi notatkami.

Rutynowo, bez zbytniego przekonania zebrał wszystkich Iksów, na każdej karteczce zapisał jedno nazwisko, po czym przetasował je i rozłożył. Od tego powinienem zacząć, pomyślał, który z nich może prowadzić podwójną grę.

Trudno mu było się skupić.

Krzyknął do Marianny, czemu nie podała jeszcze kolacji. Marianna bez słowa skargi ponownie nakryła do stołu.

Nie tylko Iksów drażni ta polemika, ale i Igreków.

Przecież ostatecznie chcą tego samego. Po prostu niczego.

Rząd czy opozycja, kler czy inny diabeł, mnóstwo oświeconych Kostków Potockich, biskup Skarszewski, Zajączek, nieważne, wszystko ma swoją złą stronę.

Sprawa prawdopodobnie wygląda tak, że Iksowie i Igrekowie zmówili się z sobą. Problem tylko w tym, czy w tym pakcie istnieje jakaś klauzula dotycząca osoby Wojciecha Bogusławskiego, a jeśli tak, to czy Iksowie poczują się w obowiązku ją respektować.

A powiadomienie go o tym zlecono Sołtykowi. Z uwagi na ich dawne kontakty jako towarzyszy broni.

Marianna powiedziała, że idzie teraz do syna, bo może mógłby pomóc, ale doprawdy nie wie, co może zrobić. To idź, burknął Bogusławski. Wyszła. W pokoju było zimno, Mistrz narzucił na siebie futro, potem zebrał wszystkie głosy w dyskusji, przejrzał swoje odpowiedzi i opanowała go gorycz.

Kto je przeczyta, może sądzić, że pan Bogusławski żyje sobie w normalnych warunkach, być może nawet w dobrobycie, przecież w gazecie wydrukowano jego nazwisko, jest sławny, może pisać, o czym chce, podczas gdy po żyjących w biedzie milionach nie zostanie nawet podpis wydrukowany na lichym papierze w jakimś szybko żółknącym piśmie. Panu Bogusławskiemu łatwo mówić, ona ma wszystko, atakują go, ale i popierają, po prostu sławny człowiek. Nagle zrobiło mu się gorzko. Dał się nabrać na polemikę. Nie powinien się do niej włączać.

Drzwi się otworzyły, Bogusławski myślał, że wróciła Marianna. Zamiast niej do pokoju wszedł Niemcewicz.

– Ładne rzeczy popisałeś – powiedział zamiast powitania i rozpiął futro, ale

go nie zdjął. – I dobrze zagrałeś.

– Dziękuję.

Niemcewicz usiadł i odrzucił do tyłu gęstą, siwiuteńką czuprynę. Jego rysie oczy rozbłysły drwiną.

– Coś zimno u ciebie. Chyba nie klepiesz biedy?

Bogusławski uśmiechnął się ironicznie.

– Ile zalegasz z czynszem? – zaciekawił się Niemcewicz.

– Wyobraź sobie, że jeszcze miesiąc mogę tu pomieszkać.

– Masz tu weksel – Niemcewicz wyciągnął jakiś świstek – na dwadzieścia pięć tysięcy.

Bogusławskiemu zakręciło się w głowie.

– Kup sobie jakąś kamienicę – doradził Niemcewicz.

– Co w zamian?

– Sam zgadnij.

– Nie mogę już grać? – spytał Bogusławski i głos mu się załamał.

– Ależ możesz. Tylko inaczej. Rzadziej.

– Ugrzeczniony?

– Ty to powiedziałeś.

– To nie są twoje pieniądze – rzucił Bogusławski.

– Jasne że nie – odparł Niemcewicz. – Dla mnie nie jesteś tyle wart.

– To ty napisałeś recenzję o sobie, prawda?

– Nie jest chyba tak źle, jeśli nadal można rozpoznać mój styl.

– Kto napisał pozostałe?

– Ci, którzy przesyłają ten weksel. Twoi protektorzy.

– Podaj nazwiska.

– Nie jesteśmy w więzieniu w Petersburgu.

– I tak je znam – mruknął Bogusławski.

– Oczywiście, że znasz – powiedział Niemcewicz uprzejmie. – I daliby więcej, gdybyś tak, powiedzmy, wydał jakąś atakującą ich ulotkę. Bardzo na to liczyłem i byłem zaskoczony, że żaden drukarz nie doniósł na ciebie, że starałeś się go do tego namówić.

Bogusławski uśmiechnął się smutnie.

– Nie jesteś już co prawda taki jak kiedyś – ciągnął delikatnie Niemcewicz – ale muszę przyznać, że Klingsberg był genialny. – Wybuchnął śmiechem. – Żebyś widział ich twarze! Ależ przyłożyłeś Iksom!

fragment 3.

– Teatr musi funkcjonować – powiedział Kudlicz.

– Zamknijmy dyskusję – zaproponował Osiński. – Przegłosujmy *Groby Werony.*

– Panowie nie znają oryginału – sprzeciwił się Bogusławski – jak można

odpowiedzialnie głosować?

– Pan też nie zna oryginału – powiedział Lipiński.

– Tylko że znam się na teatrze i przeczuwam, co Szekspir mógł naprawdę napisać.

– My też znamy się na teatrze, panie Bogusławski – powiedział Szaniawski.

– A, to co innego. Zupełnie co innego. Głosujmy.

Szekspira odrzucono.

– Nie za bardzo rozumiem poglądy pana Bogusławskiego – powiedział po chwili ostrożnie Lipiński. – Zachowuje się tak, jakby chciał dać świadectwo swej niedojrzałości politycznej. Poinformowano nas w odpowiednich miejscach, że pan może się nam przydać. Dlatego jednogłośnie wybraliśmy pana Bogusławskiego do rady dyrektorskiej. Szkoda, że do tej pory zawiedliśmy się na panu. Mam nadzieję, to jedynie stan przejściowy.

Bogusławski uśmiechnął się do niego. Kto opłaca teraz Lipińskiego? Iksowie czy Rożniecki?

– Panowie – powiedział – byliście ofiarami chytrej gierki, ale teraz muszę wyznać swoje winy. Jak mógłbym być niedojrzały politycznie, skoro czterdzieści lat spędziłem na czele Teatru Narodowego? Jak panowie myślą, poważnie chciałem *Romea i Julię*? Albo że pomysł pochodzi ode mnie?

Lipiński był najwyraźniej zmieszany. Bogusławski wyobraził sobie, ile domysłów przelatuje przez głowę pana akademika, i wyszczerzył zęby.

– Już operę Mozarta, *Don Giovanniego* zaproponowałem tylko po to, by wystawić na próbę rozsądek panów. Nie analizowali panowie tego zbyt błyskotliwie. Czy w ogóle znają panowie te operę?

I Osiński i Lipiński widzieli ją w Wiedniu, obaj byli oburzeni: oczywiście że znają.

– Jednak nie mieli panowie nic przeciwko niej – pokiwał głową Bogusławski.

– Ma istotne błędy – powiedział ostrożnie Lipiński. – Ale to nie pierwsza słaba opera na świecie.

– To prawda – rzekł Osiński – że jej muzyka, ta tak zwana muzyka chromatyczna, cierpi na tej przesadzie, podobnie jak *Eliza*, *Fidelio*, a najbardziej utwory Cherubiniego oraz Spontiniego, i nie umywa się do dawnych Włochów. Mimo to jednak możemy ją jeszcze wystawić.

– U nas i tak nikt nie potrafi przeczytać skomplikowanej partytury – podkreślił Dmuszewski. – Nie pamiętam ani jednego przypadku, byśmy dokładnie zaśpiewali nuty. Moim zdaniem te przesadzone akcenty muzyki Mozarta znikną dzięki brakom w naszym wykształceniu muzycznym i może być z tego dobre przedstawienie.

Bogusławski spojrzał badawczo na Dmuszewskiego, ale musiał stwierdzić, że ten nie chciał z nikogo zakpić.

– Zrobimy skreślenia – powiedział Osiński. – I ten duet z duchami jest za długi, zresztą według mnie duch nie powinien śpiewać. Te duchy działają mi na

nerwy – zwrócił się do wszystkich.

– Na zakończenie zrobimy deszcz ognia – zaproponował Dmuszewski. – To efektowne; opery i tak raczej się tylko ogląda, niczego się nie słucha.

– Rzeczywiście jego muzyka jest niezrozumiała – stwierdził Lipiński. – Przemawia tylko do wtajemniczonych, samych muzyków, Mozart nigdy nie osiągnie popularności takiego Salieriego, Paera, Nicola czy Boieldieu.

– Panowie – odezwał się Bogusławski – ja nie mówię o muzyce. Jestem przekonany, że nie potrafimy ani grać, ani śpiewać, nie trzeba mnie o tym przekonywać. Ale to, co mówi Mozart... to nie rzuciło się panom w oczy?

Obecni poruszyli się nerwowo.

– Ta opera – powiedział Bogusławski z ojcowską troską. – Mówi o tym, że Don Giovanni, ten działający bez skrupułów kobieciarz, ma rację, a uczciwi ludzie okazują się kompletnymi idiotami. Don Giovanni, panowie, to ucieleśnienie tak zwanej wolności skierowanej przeciw każdemu społeczeństwo. Don Giovanni, panowie, jeśli go zagramy, będzie policzkiem dla Królestwa Polskiego. Czy panowie nie zauważyli, że z tego Don Giovanniego rodzi się duch rebelii?

– Ale na końcu umiera! – wykrzyknął Dmuszewski nic nie rozumiejąc. – Zapada się do piekła.

– A z nim zapada się wszystko, co wielkie. – Bogusławski pokiwał głową jak nauczyciel. – A ci, co zostają przy życiu, są szarzy i pozbawieni wartości, nawet nie pojmują, że mieli okazje spotkać się z czymś wielkim. Przy życiu, panowie, pozostają tylko łajdacy, a Don Giovanni śmieje się w kułak w zaświatach.

Zapadła cisza, Bogusławski zaśmiał się drwiąco.

– Panowie – powiedział – my winniśmy nauczać poszanowania porządku, postępowania zgodnie z cnotami obywatelskimi, by w naszej ciężko doświadczonej ojczyźnie nikomu nie przyszło już do głowy wpędzić nas w nową katastrofę podejrzanymi hasłami o wolności, demagogicznym głoszeniem równości i braterstwa. – Zrezygnował z drwiącego uśmieszku i przybrał zatroskaną minę.

– Dlatego właśnie to zagramy – syknął Szaniawski.

– A rolę Don Giovanniego powierzymy słabemu śpiewakowi – próbował pogodzić sprzeczności Osiński. – W ten sposób główna postać padnie.

– Dobre rozwiązanie – ucieszył się Lipiński. – A jeśli idzie o hasła, panie Bogusławski: przecież my właśnie reprezentujemy szczytne idee wolności, równości i braterstwa, to gwiazda przewodnia naszego państwa i rządu...

fragment 4.

Tymczasem Bogusławski siedział w komendanturze miejskiej i obserwował oficera, który ostentacyjnie grzebał w szafie.

Niechętnie go wpuszczono i ostatecznie nie zaprowadzono przed oblicze

Rożnieckiego. Kiedy przedstawił się oficerowi i oznajmił, iż potrzebuje pieniędzy, oficerowi nawet nie drgnęła powieka, zaczął grzebać w papierach.

– Wielokrotnie pisałem już do pana generała – powiedział Bogusławski z nadzieją. – W rozmowie również ustaliliśmy...

– Pieniądze – mruknął oficer z obcym akcentem – ależ oczywiście.

Rozwiązał tasiemkę, wyciągnął jakieś kartki, przejrzał kilka i położył przed Mistrzem.

– Niech pan to przeczyta.

Na samej górze leżał raport o wydarzeniach na dzisiejszej próbie, pisany ręką Wąsikowskiego, Bogusławski tylko zerknął i odsunął go na bok.

Nieznana ręka informowała właściwe władze, że „Bogusławski chyba nie będzie mógł wrócić na scenę. Na prawe ucho częściowo, a na lewe prawie całkowicie ogłuchł”.

Do kartki były dopięte inne, Bogusławski przerzucił je.

„...w związku z duchowym niedomaganiem Szymanowskiego idącym w parze z dolegliwościami cielesnymi nie można liczyć na jego szybkie wyzdrowienie”...

„...Żółkowski wygląda kiepsko, w ostatnich tygodniach schudł, kaszle. Zapewne choroba płuc. Stara się to ukrywać”...

Kolejna odręczna notatka. Bogusławski czytał ją szybko.

„Pan Bogusławski rzadko uczy się swoich ról i lubi grać z udziałem suflera, porażki nie ścierpi”. Kilka nieciekawych zdań, po czym: „Podług moich szacunków Siegmund z córką może dać najwyżej 15-20 tysięcy złotych posagu. Jeśli, co niewykluczone, Bogusławski zlicytuje lub przeznaczy na główną wygraną na loterii swój dom, który otrzymał od Iksów, obie kwoty łącznie nie osiągną kwoty żądanej przez Osińskiego”.

Dobry pomysł, pomyślał Bogusławski, ta loteria. Wszyscy XXX, by wygrać dom.

Swego nazwiska więcej już nie znalazł, ale dowiedział się, że Ledóchowska potrzebowała *garde de dame* i dlatego wybrała Werowskiego, który z pewnością się dla niej nie rozwiedzie. Przeczytał, że Osiński pokłócił się z Lipińskim i Niemcewiczem. Niemcewicz odwiedził wypuszczonego na wolność i przebywającego w areszcie domowym Węgrzeckiego, byłego burmistrza, ich rozmowa nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Węgrzeckiego odwiedzili jeszcze:... (nieznane nazwiska). Antoni Fiszer wyjechał do Paryża... Zatrzymano list adresowany do przebywającego w Paryżu Antoniego Fiszera, jego autorem przypuszczalnie jest usunięty z uniwersytetu osobnik nazwiskiem Zamoyski, członek grupy Mauersbergera...

Zdanowicz zachowuje się tak, jak można było oczekiwać, dalsza obserwacja jest zbędna.

Żółkowski błagał Osińskiego o rolę Falstaffa. Dwa omówienia sztuki Szekspira; autor notatki zdradzał dobre wyczucie literackie i zaznaczył, że komedia jest dość dobra, Żółkowski z pewnością zechce w niej wystąpić.

– Czy chce pan czytać dalej?

Bogusławski zerknął na dalsze kartki. Były wśród nich recenzje wycięte z gazet, trochę pisanych inną ręką raportów szpicli, kilka jego listów do Każyńskiego i Rożnieckiego. Nic ciekawego.

Potrząsnął głową.

Oficer pieczołowicie uporządkował kartki i spiął je dokładnie.

– Pan jest Francuzem? – spytał Bogusławski po francusku.

Oficer westchnął.

– Niezupełnie – odpowiedział, również po francusku. – Nikt tu poza mną nie utrzymuje porządku, mój panie, czasem upływa wiele dni, nim coś nadejdzie.

– Niezbyt kompletne te moje materiały – zauważył Mistrz.

Oficer uśmiechnął się smutnie.

– Wiem – powiedział. – Ale co mam zrobić? Wy, Polacy, jesteście piekielnie niedbali. Polskie raporty pełne są domysłów, spekulacji, rzadko kiedy są w nich prawdziwe informacje. U was nawet donosiciele nie potrafią oddzielić faktów od własnych oczekiwań. Polakom, mój panie, brakuje obiektywizmu. Charakterystyczne, że najlepsze raporty piszą osoby obcego pochodzenia.

Macrott, przyszło na myśl Bogusławskiemu. Z pewnością ten młodszy.

– Ma pan sporo na głowie – powiedział.

– Kłopot w tym – ciągnął oficer – że nie potrafię się już odzwyczaić od rzetelności. Wbito mi ją do głowy za czasów Napoleona. A tutaj... Pan również mógł tego doświadczyć, mój panie, że nie honoruje się zasług i rzetelnej pracy.

Bogusławski przytaknął. Oficer odłożył plik papierów do szafy i ją zamknął. Usiadł. Westchnął:

– Niech pan powie, mój królu, co ma zrobić człowiek, jeśli taki jest jego zawód?

Bogusławski przytaknął ze zrozumieniem. Może siedzący naprzeciw niego oficer to Vandernoot, o którym kiedyś wspominał Niemcewicz.

– W Europie, proszę pana, ten zawód jest szanowany, ale tutaj!... Dziwny bywa los człowieka, nieprawdaż? Nigdy bym nie uwierzył, że przeznaczenie zaprowadzi mnie do Warszawy, gdzie muszę dożyć swych lat, z dala od cywilizacji.

– Dostanę pieniądze? – zapytał Bogusławski.

Oficer coś bąknął, zamiast odpowiedzi.

– Wielokrotnie pisałem do generała Rożnieckiego... Pan z pewnością czytał...

– Pan też chyba widzi – powiedział oficjalnie oficer. – Że nie możemy liczyć na pańską współpracę. Nie mamy czego honorować, mój panie.

– Ale przecież pan generał...

– Przykro mi. Nie możemy na pana liczyć.

Bogusławski wstał i ku zaskoczeniu oficera z radością i wdzięcznością uścisnął mu rękę.

Na ulicy śmiał się rozluźniony. Mój słuch nie da się wyleczyć? Nie muszę wydawać na lekarzy! Posag będzie mały? Nie muszę się żenić! Mój dom jest

mało wart? Niech Osiński żałuje!

Zobaczą jeszcze cuda w Teatrze Narodowym. Nawet najlepszy donosiciel może się mylić. Będzie grać. Niepotrzebny mu sufler, nauczy się roli.

Nikomu nic nie jest winien.

Pośpieszył do domu. Drżący z zimna przechodnie patrzyli za nim zdziwieni, w Warszawie od dawna nikt nie śmiał się na ulicy.

Tytuł oryginału: *Az Ikszek*

Copyright © György Spiró, 1981

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Wydanie I

Warszawa